

Władysław Graban

Rozsypane pejzaże



Władysław Graban

Rozsypane pejzaże

poezje

Serdeczne podziękowania dla Wojewody
Nowosądeckiego oraz Zarządu Głównego
Stowarzyszenia Łemków - sponsorów niniejszego
wydawnictwa, składa autor.

Ilustracje: Marian Bahrij.

Wydano staraniem Towarzystwa na Rzecz Rozwoju
Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej k/Dukli.
Skład, łamanie: Redakcja "Zahorody", opracowanie graficzne
autora, Krynica 1995. Druk: Drukarnia "Almar" 33-340
Stary Sącz, ul. Cesarczyka 2

© Copyright by Władysław Graban, Copyright by Marian Bahrij,
Krynica 1995

ISBN 83-901770-3-X

Arabian
Rozsypane
pejzazie

P S A L M

Boże my wiedzieliśmy
że za dni pradawnych
osadziłeś naród nasz
w górzystej dziedzinie
z woli i światła swego
I żyli dziadowie ojców naszych
do końca dni
do zakończenia
tysiąclecia...
Aż wydałeś nas
jak ofiarę z kozłat
rozzucając
pośród narodów świata
kości nasze za bezcen
Sąsiedzi znieważają nas
przyrównują do pogan
pośród pospólstwa
oblekłeś nas w hańby szatę
Nie zapomnieliśmy o tobie
nie złamaliśmy przykazań
i jak dawniej
wznosimy świątynie
pośród zielonych dróg
W naszym życiu
nie było innego Boga
prócz ciebie

Boże...
prześladowana cerkiew nasza
za krzyż trójramienny
naznaczona cierniem stoi
na rozdrożu życia
bezmocna
Boże...
czemu nas opuściłeś
zapomniałeś
prawdy nasze
groby przodków
Ty za dni pradawnych
posadziłeś nas
zielonym drzewem Beskidu
w Łemkowynie

31 stycznia 1994

MATCZYNE MIEJSCE

Tylko jesień
z chłodem deszczu
na listkach
roznieca złoty płomień
porąbanych ikonostasów
zamienia je
w woskowe języki świateł
na cmentarzu
zwanym temetił
W brzożach białych
białe kości ptaków
nie podniosą
bezkrzydłych ramion
nad dzikie jary
gdzie bezzębne wierzby
w pienistych strumieni wodach
garby pleców myją
Tam domostwa
z próżną strzechą
bez kwiecia okna
miejsca puste
poczerniałej ikony ślad
tam
miejsce matczyne
rodzinne

MACIERZYŃSTWO

Garść zamyka ciepło
w garści
jak w chacie ciepłej
zrąb palców twojej dłoni
wyłuskuje modlitwę
palce
spieczone jak grudy ziemi
jak piersi łaskawe
macierzyństwem
napęlnią przestrzeń
otwieranych źrenic

MIASTA BLIŻNIACZE

Nie wiedzieli że po drodze
spod Jaworzyny
trafią do Jaworzna
Bliźniacze nazwy
dla ucha
na placu widok obozu
pamiętnego Talerhofu
świat oddalony
z zakratowanym oknem
bliźnim stworzony
Odtąd na zawsze
zostaną miasta bliźniacze
Jaworzno -Talerhof
jedno słowo dla Łemka
zagłada
W zadrutowanym świecie
magiczne siódemki
siedemnasty
czterdziesty siódmy
jak ostry topór
rozetną
wypalone wnętrze czasu

Talerhof (Thalerhof) - obóz internowania w Austrii gdzie więziono Łemków podczas I wojny światowej. Jaworzno - Centralny Obóz Pracy utworzony przez MBP w lutym 1945. Więżiono w nim m. innymi Łemków od maja 1947 do marca 1949 r.

WIGILIA

Nas kilku ludzi
to tak
jak by nas nie było
wdeptani
w mroźne morze śniegu
w górzystą dziedzinę
Łemkowie
rozproszeni jak ptaki
a chaszczy tu tyle
że mogą przysiąc
tysiące
Znakiem krzyża
podzielimy ziarno
na czworo
pośród smugi lasów
rośnie jeszcze chleb
na kiesyńciu
rośnie na niebie
sноп gwiazd
sноп jęczmienia
znajdziecie
w sinym stogu nieba
Idzie wigilia
darujmy sobie
garść ciepła
jak przed wiekami
przyjdzie Jezus
on tak niewiele
potrzebuje

kiesyńcia - łemkowski żur przygotowany z owsianej mąki

ŚNIEŻNA KOLEĘDA

Srebrnych jodełek pełne doliny
błyszczą ogniki pod strzechą
wysokiego nieba
a z połonin rozpalonych latem
ślady owieczek
do zagrody wiodą
tam woły leniwe
w kąpieli siana leżą
przeżuwają miodem pachnący lipiec
W dłoni zacisznej doliny
łemkowska chyża za wiatrem stoi
zwierzęta rozmowne
zgarniają rogami
gwiazd pajęczyny blade
na przypiecku kaganek
i skrzydło leżą w parze
podmiotano nim watrzysko
Tu ostatni podpłomyk
jesień spopielila
jak dziadkowe królestwo
które w sine zbocza
kominem ciepłym pierzchło
Na piecu
polny konik się ostał
wiedzie rozmowy z wiatrem
zima bieli ściany
śniegiem stół nakryła
skrzydła aniołów rozjaśnia

Tu się narodzi Bóg
za wysokim progiem
na ławie dębowej
pośród siana i jedliny
"Z namy Boh"
zaśpiewają skrzypki cykady
nikt nie przyjdzie
nie zaszczeka pies
Tylko Matka
pod zgarbioną powałą bólu
zanocuje
w kołysce narodzonych
szukać nakaże
czterolistnych koniczyn
Czy otworzą drzwi połonin
dla śnieżnej kołedy

chyża - lemkowska chata, dom
watrzyso - palenisko, miejsce gdzie płonął ogień
"Z namy Boh"- Z nami Bóg - cerkiewny zaśpiew
w Boże Narodzenie.

BY NIE ZGASŁY ŚWIECE

Wierchy w śniegach stoją
jak panny młode
przed ołtarzem Wszechmocnego
komunię świętą ze źródeł przyjmują
jutro
w lód go zamieni mróz sinobrody
na zimowy skobel
królewskie wrota zamknie
by wichry
nie zgasiły świec
płonących gorącym sercem Łemka
Boże
ustrzeż ten ogień nadziei
kolbami zbrojnie obity
Boże
Łemkowyna to wielka cerkiew
rzędy krzyży
cmentarze
kielich nieboskłonu siny
Tu w każdym miejscu
ikonostas lasu
zanosi modły
za ludzi
bez ludzi

skobel - zamknięcie, zaszuwa

Łemkowyna - lemowska nazwa Łemkowszczyzny

DLACZEGO

Poczerniały czupryny lasów
mrozem nastroszone
chronią przed wiatrem
wierchy pobielone

Kołpak - baranica
wierchów nausznica
moja góra zielona
od wiosny do jesieni

Dlaczego kochać
twoje piersi wysokie
wtulać głowę
i serce zostawiać
pod jodełką
jak pod pierzyną

ŁEMKO

Nie podniesie głowy
jak każdy Łemko
będzie patrzył w ziemię
uśmiechnie się
jakby do siebie
i pójdzie rozkołysanym krokiem
przez łąny jęczmienia i owsa

W owsisku znajdzie oset
kłującą dłońią
pogładzi dziątek głowy
i rankiem na nowo obejdzie rolę
by słońcu spojrzeć w twarz
otwarcie

DOM

dom z drewnianych bali
ciepły
dom z drewnianych bali
odległy
dom z drewnianego bólu
codzienny
dom
jak ostrze do szczapy
ostrze do ostrza
dom

FIOLEK

Zielenią ożyły zimowe pola
las jak parowóz
zadymił
i potoczył się zboczem gór
rozwiesił siatkę mgły
nad wądołami
pod zboczem
Zagrzmiał wiosny dzwon
sercem uderzył potok
o chłodny nocy brzeg
zapiskała wierzb piszczałka
w poszumie leszczyn
w płaczu łozin
nad ranem wiatr
roztrwoniał po wierchach
białe kości zimy

Rodzi się życie
na falach mętnych wód
na słonecznej dłoni zbocza
naręcze tylko ostało
zimowych drzew
otworzę dla fiołka drzwi
który za progiem stoi

BYĆ MOŻE

ogród przed domem
słoneczniki
złotogrzywe konie
biegną stępa rzędem
ty
na palcach wspięta
sięgasz grzywy
złotego wiatru włosia
mgłą ociekają dłonie
mleczną poświatą
miododajnie zraszasz
senną ziemię

ogrodowy kilim
przytulasz do ust
w porannej ciszy pęcznieje dynia
za murem złotogłów
ja
twoje oczy aksamitem ziół
uśmiechnięte
ostatnim promykiem gwiazdy
dotykam

być może
spotkam cię jeszcze
kiedy dojrzeją maki
jak banie
cerkiewnych wież

* * *

Wiatr niesie liście
w oceanie przestworzy
chmury z cum zrywa
haczy wysokich jodeł
sine głowy
Zanućmy pieśń jesieni
tańczmy z tabunem ostów
do rana
aż kędziory osrebrzą
makówki naszych głów
jutro przyjdzie jesień
zwyczajna
łemkowska dziewczyna

ŻDYNIA

dr M. Sandowiczowi

"Światyj Mychał
na sywym kony pryichał..."
i nad Żdynią
błyskiem miecza
lampy jesiennych buczyn
zgasił
oblekł pól kilimy
zabiełił płótno lniane
i szron pajęczyn
rozpostarł w podniebnych obłokach
Tylko listki barwinków
zielone ostały
jak owce
stadnie za ptakami pierzchły
w mroźne połoniny
za cerkiew
za Sandowiczów dom
do zagrody
która pomiędzy ziemią a niebem
na dłoni Św. Michała zatrzymana
w ikonowym śpiewie kolorów
w błysku cerkiewnych bań
pozostaje
tam tylko Beskidek
za którego grzbietem
zielona trawa
jak nadzieja
rośnie

Lemkowskie przysłowie (o znaczeniu: "Na św. Michała - mróz")
Beskidek - wzniesienie nad Żdynią

JESIENNA ROZMOWA

Ukochana
droga moja jesieni
listy z listowia zanoszę w modlitwie
ostatni złotogłów słonecznika
podarował głowę
a złote grzywy koni
w mgłach połonin
chłodnym rankiem płyną
skrzypią w kieracie dnia polne skrzypy
w zapasce nieba gaśnie słońce
a za górę za górę pędzą owce
kłębiaste kule chmur
Na spotkanie zimy
deszcz w soplach stąpa
na rżysku
rżą huculskie konie
pomkną z szumem skrzydeł
w białe płachty zimy
Tylko kłębki pajęczyn
wrzeczono ciepłych snów
puszczę w ruch
Choć bez kapelusza z listowia
nie będzie ci do twarzy
ukochana jesieni

1 października 1994

BARWINEK

Ja ciągle Kocham
bukowe lasy
maszty jodeł
rozparte
w szklanej kuli nieba
chodzę pośród kretowisk ludzkich
podnoszę zdeptane barwinki
ten niebieskooki kwiatek
niemowlęciem wyrasta
z mogiły pradziadów

10 lipca 1995

Porozmawiać z wiatrem
najprościej
bez słowa zrozumiesz
duszę pól
a kiedy ucichnie
dostrzeżesz na połoninach
białe stada owiec
powalone kłody lasów
i czuhy
co nie poszły na zachód

czuha - cucha, męski płaszcz z samodziału
z ludowym zdobieniem

10 lipca 1995

CHCIAŁBYM

oczyścić sumienie z narośli
tradycji siermiężnej dać odpór
z popów-art
zdjąć sutanny
wytarte do białej czerni
chciałbym powiedzieć
nie nasze wy chachłactwo
trzeba umieć w zalewie komercji
podnieść ciernie do godności korony
na krzewie głogu
ostatnie ziarno szkarłatu
świeże krople krwi
niewinne
znaleźć

Nad głowami kopuły świątyn
nadęte wiarą
a ludzie tak mali
robaczki prawie
wierzą
że wystarczy nadać
balon nadziei
z przerażeniem spoglądają
na ostre noże
i zakłuwają siebie wzajem
by nie pękła kopuła
nadęta wiarą

10 lipca 1995

Marija z Vukovaru
chodziła do unickiej cerkwi
nie ma już domu
wypędzili ją z miasta
Mówi że jest szczęśliwa
paradując ulicami Ruskiego Keresturu
w dłoniach złożonych
w kształt polnej róży
niesie życie

10 lipca 1995

MÓJ BÓG

jest podobny do mnie
nie ma cerkwi
wgnany z własnego nieba
szuka schronienia
u obcych

u swoich
miałby trudny wybór konfesji
aby
nazywać się Ukraińcem
musiałby wstąpić
w szeregi UPA

Styczeń 1994

Cóż że za tobą płaczą
cerkiewne kopuły
one jakby do smutku nawykłe
tkwią w spokoju
jeszcze tkwią
unieruchomione serca dzwonów
nienawykłe do bicia
ani przeszczepu

5 sierpnia 1995

Chodzę po cmentarzu
jak po własnym domu
cmentarz jest taki cichy
śpią moi dziadowie
choć *dziadami* być nie chcieli
potrząsam dziada skalpowaną głową
i po cóż było ci tej ameryki
gniotłeś zielone
kupowałeś morgi
chciałeś by góry w pas się pokłoniły
a pochyliłeś głowę w piaskowe okowy
dzień jak co dzień
stawał co raz nowy
Dzisiaj ja twój odległy potomek
idę wśród mogił
jak ty w połoninie
niepewny jutra
a dzień
jak co dzień

5 sierpnia 1995

Będę do was powracał
bo do zmarłych
świat potomnych należy
Nikt was nie odbierze tej ziemi
a razem
jest nas dużo
pewnie wieleś tysięcy
Razem
jak mawiał Majakowski
rozładujemy wagony
nawet te które stały
na rampie w Jaworznie

5 sierpnia 1995

PRZYWOŁANIE

W górach kiedy zaświeci słońce
to jakby matka rozpromieniona
posłała uśmiech niemowlęciu
tyle ciepła w jej oczach
w źrenicach świtu
nad połoniną
Świerkowa kołyska pełna szczęścia
pełna wiatru gór
igliwia i mchów dzieciństwa
Ponad piersi Beskidu
wietrze wiej
zaprowadź mnie tam
gdzie dzwonu echo
w przejrzystej kuli światła
pomiędzy niebem a ziemią
gdzie ptaki zwołują żywych
na wieczerzę
Może przyjdą Łemkowie
zdołają dostrzec
puste ścieżki
w zamglonym tysiącleciu

16 września 1994

NOWY DOM

Zachowujemy dekalog
garść dawnych pieśni
próbujemy z popiołów
ulepić nowy dom
a przecież jesteśmy
więc dla nas
lepiej być
bo umieranie z godnością
nie będzie najwyższą ceną
więc nie słowa
sława i chwała
próbujemy z popiołów
ulepić nowy dom

ŁEMKOWYNA

Szukam cię od lat
od narodzin
noszę twoje znamię
i ciągle jesteś odległą
a jakże bliską

A może wystarczy
wyciągnąć dłoń
i zanurzyć
w chłodnych trawach połonin
by sprawdzić
że twoje serce bije
dla nas
obok

27 lutego 1995

ZIEMIA WOŁA

Łemku
rodzinna ziemia woła
gdzie dzikie chaszcze
gdzie ślady domostw
pozostały
siedliska nowe wznosicie
Na wzgórzach płonie ogień święty
pradziadów waszych
na połoniny skrzydłach śpiewnych
jest miejsce tam dla żywych
w muzyce słowa
powroty
Woła was ziemia bracia
w siną obręcz lasów
w zielone
podniebne Karpaty

NAGRODA

Powiadasz
wracać muszę
Łemkowyna czeka
choć nie powróci nigdy
twój ojciec i dziadek
i nie będą walczyć
o chwałę
o medale
Powiadasz
wracać muszę
odbiorę należny medal
złote słońce Łemkowyny

IGLIWNA GAŁĄZKA

Kiedyś nie pozwalali zejść z gór
dziś nie pozwolą wracać
a twoje stopy wciąż twarde
jak bukacia skóra
nawykłe boso i w kierpcach
Niesiesz ikonę swoich pleców
na wietrze chorągwie rąk
rozczapierzone palce
nie będą mogły
uchwycić igliwnej gałązki
nie przyniesie jej ptak
zwany gołębiem pokoju

5 sierpnia 1995

Umierają cmentarne krzyże
spadają pożółkłe liście
zamieniają się w proch
ludzie drzewa i ptaki
wierzyłem że przed jesienią
powrócą Łemkowie
uprzedzą białą zimę
zapalą w dziuplach buków
nowe Watry
a oni
już nie czytają księgi lasu
zapomnieli o Księdze Rodzaju
wolą nowe futerka
i futerał z piwem

futerał - skrzynka piwa

10 lipca 1995

Spią żona i dzieci
śnią o rozpalanej Watrze
lubią ogień
ogrzewa serca nawet te puste
Czy są puste serca
pewno nie
Może są małe
zapytam kardiologa

5 sierpnia 1995

*Watra - (Łemkowska Watra) - święto kultury łemkowskiej
organizowane corocznie od kilkunastu lat w Beskidzie Niskim.*

REFLEKSJA

Nie ma przestrzeni
nie ma czasu
historii i przyszłości
jest dzień
który zamknął lot ptaka
pomiędzy jednym i drugim wzgórzem
wszystko
co było przedtem
i potem
rozgrzeszy tolerancja

ZAPISAĆ SŁOWA

Zapisać słowa
przecież ich tak wiele
ułożone w obrazy
rozrzucone w nieładzie
co krok
spotykasz kilka słów
Zapisać słowa
to z tak wielu znaczeń
ułożyć bryłę przestrzeni
spiąć obręczą
rozsypane pejzaże
odnaleźć ludzi
i zapytać ich
to wasza mowa

10 lipca 1995

CANTABILE

Niech wam zagrają wszystkie dzwony
z pękniętym sercem
z wyszydzonym
niech echo leśne dźwięk ten niesie
po lesie po lesie
Z pieśni bezsłownej utrapionej
ulepić ciszę upragnioną
niech echo leśne chłonie dźwięki
piękniej i piękniej
Nakreślisz z światła kuli białej
obłok nad lasem
nad wałalem
i będziesz szukać swych korzeni
w tej ziemi
w ziemi

wałal - siolo, wieś

5 sierpnia 1995

KSIĘGA RODZAJU

Wstał o brzasku. Słońce wdzierало się do izby, przemykało pośród wilgotnych liści pelargonii wypełniającej okno. Kropelki wody spływały strugami po szybie, wyłapując świetliste promyki. Zdawały się podobne do okrągłych, szklistych grochów - lez. Ubrawszy się jak co dzień, zaciskając pas, poprawił drelichowe spodnie, nałożył czapkę i wyszedł na dwór. Dzień był świąteczny, więc wszystkie prace wykonywać będą domownicy. On, gospodarz, w tym dniu był wolny od zajęć.

Zajrzał jeszcze do obory. Bydłeta leżały spokojnie, sennie przeciągając grzbiety. Dotknął grzywy siwka, poklepał go i wyszedł z uczuciem zadowolenia. Drzwi zamknął na skobel. Robił tak zawsze. Nigdy nie zamykał obory na kłódkę.

Spokojnym krokiem powlókł się w stronę pól. Minął zboczne przecięte potokiem. Woda bulgotała jak w garze, pieniać się biegła zygzakiem wypełniając zakamarki koryta, ostro wcinała się w gliniasty grunt. Wokół leżał jeszcze śnieg. Pokrywa była coraz cieńsza, zalegała miejsca ocienione. Tam gdzie nie było drzew - śniegu prawie wcale. Zbliżył się do miedzy. Składał na niej wyorywane kamienie. Wspominał o rodzicach. Pamiętał, jak powtarzali, że kamienie rodzą się podczas zimy, stąd tyle ich każdą wiosną. Zawsze było ich pełno, pomimo że zbierano je - rosły na miedzach kamienne kopce. Część z nich pokrył las: znaczą granice dawnych łąnów, dlatego może powiedzieć, do kogo należały.

Miedze wiodą w leśne gęstwiny, tam się rozptywiają, giną. Słońce wzbiera jak wysoka fala. Jest coraz wyżej - rozjaśnia koloryt wiosennego pejzażu.

Spoglądając z góry na rozświetloną dolinę, widzi czerwony dach rodzinnego domu. Gdzieś z wysoka woła jastrząb: - pij, pij, pij! Zatacza w bezruchu kręgi. Stając

w miejscu nieruchomieje jak latawiec, łopoce czarną chorągwią skrzydeł. Majestatycznie zakreśla jeszcze jedno koło i spada w dół jak rzucony kamień. Przy styku z ziemią otwiera spadochron skrzydeł i wyciąga przed siebie rozwarte ramiona szponów. Nie dotykając ziemi, unosi zdobycz. Odbywa się to niepostrzeżenie: zmiana jaka zaszła w locie ptaka nie płoszy ciszy. W powietrzu góruje spokój. Śród kamieni rzędy tarniny. Jej ostre kolce odstrasza, chroniąc ostatnie kulki granatowych owoców. Na szarych kamieniach ogrzanych słońcem pełzają pierwsze tej wiosny owady - leniwie przeciągają skrzydła.

Idąc w kierunku lasu, trafia na mokradło. Wie, że tu w letnie gorące noce wylegują się dziki. Ale dziś jest nienaruszone. Pozbawione śniegu pulsuje ciepłem. Na skraju kępy sitowie prostuje po zimie zgięte grzbiety, nabiera zielonego koloru. Nad moczarem przycupnęły dzikie olchy, kruche gałązki dobyły pierwszych pędów. Zerwał kilka z nich, przytykając do twarzy poczuł świeżość i zapach soków. Oznajmiały - zima minęła.

Usiadł na najbliższym kopcu kamieni i rozkoszował się zapachami, trwało to chwilę. Siedział nieruchomo patrząc przed siebie, zagłębiał wzrok w najdalsze zakątki okolicy. Wiedział, że tylko tutaj może być sobą, i wierzył, że kiedy będzie zapełniać miedze kamiennymi kopcami, przedłuży istnienie tej ziemi, tak jak ona darując mu kolejną wiosnę - przedłuży jego życie.

kwiecień 1987

ZRĄB ŻYCIA

Topniejący śnieg wypełniał przemoczone buty. Obolałe nogi dawały znać, że pora wracać do chaty. Watowane spodnie, pokryte lodem, były zupełnie sztywne i przy każdym kroku trzeszczały jak łamane polana. Również plecy jak pancierz żółwia stanowiły dymiący garb, usztywniony lodową łuską. Spod baraniej czapy okalającej głowę wydobywały się ciepłe opary. W leśnej ciszy ta dziwna postać zdawała się zupełnie obca. Powtarzała wciąż te same ruchy - czynności.

Zamaszyste cięcia siekiery pozbawiały ściętą jodłę kolejnych gałęzi. Drzewo na wpół zanurzone w grząskim śniegu próbowało bronić się przed uderzeniami. Rozczapierzone konary jak ośmiornica oplatały korpus człowieka, obezwładniając go mackami igliwia, ale ten wijąc się parł naprzód. Ślady ciężkich stóp znaczyły korytarze, brodząc w śniegu zbliżały się do korony drzewa. W starodrzewiu niosły się tępe mlaśnięcia siekiery. Obnażone ciało jodły zapłonęło żółcią. Opuchnięta kora wydzielala eteryczny zapach, rozsiewala woń igliwia. Człowiek dobrnął do końca długości drzewa. Pozostało mu kilka cięć. Odchylił jak uprzednio sztywny korpus i zabłysnął ostrzem w lekkim mroźnym powietrzu. Nie wykonał jednak ruchu. Zastygł w pozie i trwał w niej przez chwilę. Później odłożył siekiere i pochylił się nad koroną drzewa. Zgrabiałymi dłońmi począł dotykać zawieszonych wśród gęstego igliwia jodłowych szyszek. Każda z nich zamykała we wnętrzu skrzydlate nasienie, chroniąc je ciemnorudymi łuskami, skrzącym szronem ułożonym piramidalnie w kryształków. Chłodne szyszki szorstką powierzchnią drażniły twardą skórę dłoni - jak małe puchate ptaki nabierając ciepła, starały się opuścić klatkę palców.

Człowiek odszedł na bok, przystanął i zmierzył wzrokiem strzelistość kolejnej jodły. Odłożył jednak siekiere i szybkim ruchem nóg wykonał śnieżny kopiec na pniu

ległego drzewa; gałęzie ułożył w drugą pryzmę. Do pustej torby po cukrze, z której kilka godzin temu wyjadł śniadanie, włożył kilka zerwanych szyszek. Przygotowane zawiniątko schował za pazuchę i odszedł przez zmierzchający las w stronę chaty. Zebrane szyszki stawały się coraz cieplejsze. Ślad, którym przybył do miejsca zrębu, zbladł a płachta śniegu zlewała się w spójną biel. Przeszedł przez polanę roziskrzoną gwiazdami i kiedy zdawało się, że jest blisko chaty, otoczyła go jedlinowa niemoc. Setki jodłowych gałązek smagały tułów, twarz. Odrzucał je rękami i chcąc odnaleźć ukrytą ścieżkę, krążył wokół i wciąż trafiał w to samo miejsce. Szyszki w zaciszu pazuchy pęczniały, były mokre - prawie gorące. Pękły nasiona i nowy las pokrył miejsce dawnego zrębu.

luty 1987

KRAWĘDŹ CISZY

Październikowa noc. Przed chwilą rozłożyłem łóżko, chcąc położyć się do snu. W piecu przygasają ostatnie polana. Języki ognia rejestrują zarys wnętrza leśnego domku. Nie dopalona świeca wetknięta w kubek z ziarnem podtrzymuje nierówno łypiący snop światła. Jasna księżycowa noc wkrada się do okien; dotyka stołu, nie dojedzonej kolacji, widelców rozrzuconych w nieładzie, kilku talerzy, stygnącej kawy.

Wychodzę na dwór. Po minucie jestem na zboczu. Dolina zalana mlekiem księżycowej poświaty leży u moich stóp, przypomina bajkowy krajobraz dzieciństwa. Poszarpany horyzont ostro odcina szklisty kontur nieba. Tej nocy pełnia. Opary mgły otulają sąsiednie zbocza okalające dolinę, snują się od źródeł potoków i przechodzą wzwyż. Biała cisza kryje pomruk dolatujący mego ucha. Nagle rozdziera ją potężny, gardłowy ryk: muuuuuuooo, muuuuuuooo! Wydobył

się ze ściany lasu i spizem uderzył o przeciwległy stok, potoczył się zboczem i gdzieś daleko zamilkł. Dźwięk powtarzał się raz i drugi - narastał. Zdawało się, że jest coraz bliżej. Czuję jak przenika każdy strzęp zmierzwionej trawy, porusza ostatnie liście drzew - otacza mnie. Pomimo ciepła nocy, która swym oddechem przypomina letnią, chłód usztywnia palce rąk - nieruchomieję. W gęstwinie nocy krzyczy zbudzony ptak, płosząc leniwy turkot wody. Księżyc uśmiecha się jaśniej.

Pada strzał. Głaz śmierci zsuwa się z krawędzi ciszy. Jak uderzenie w płot, zbrojny w setki sztachet, niesie nienaturalny pogłos, potyka się o coraz szersze kręgi drzew, sięga najwyższych partii lasu, otrząsa mgielne krople rosy, biegnie z nadzwyczajną siłą - donikąd. Napełnia uszy i trzewia, tnie na oślep - trwa.

Oczyma duszy dostrzegam gasnącą świecę leśnego domku, ostatni kłębek poszarpanej mgiełki zawisłej nad nozdrzami leśnej czerni. Słyszę ulatujące bicie serca, ale nie jestem w stanie odróżnić, do kogo należy.

październik 1986

JESIONY

Powaliłem trzy jesiony. Widziały onetaki wiele, że nie sposób spamiętać jednym życiem. Znały wieś mojego pradziada. Żyjąc na jego zagrodzie, spoglądały dumne na dymiące co dnia kominy chat. Z każdą wiosną zazieleniały się ich kędzierzawe łby, a kiedy przychodziła jesień, traciły swoje pierzaste liście najwcześniej - po pierwszych przymrozkach.

Kiedy padły, zadrzała ziemia. Długo panowała cisza a w pustej przestrzeni trwał dziwny smutek. Później tartaczna piła wżarła się do wnętrza kłód, rozdawiała bladoczerwone warstwy słoików świadczących o ich mocy, o życiu w

zaczarowanym kręgu pnia - zamieniała je na deski. A przecież wytrwały burze, zimową zamieć, rozstanie z bliskimi ludźmi. Ja w tej zwierzęcej nagonce, w nieludzkim polowaniu na drzewa pozbawiłem je życia. Czy mogłem tak postąpić?

Przed dziesiątkami lat w ich chłodzie skrywał głowę stary człowiek, któremu towarzyszyły wnuki, a kiedy ucichał wieczorny gwar, w objęciach koron znajdowała ukrycie para dzikich gołębi.

Może za kilka lat wśród młodych jesionów stanie nowy dom. Jak dawniej, ocienione miejsca zajmą dzieci i dzikie gołębie.

kwiecień 1990

ДО ВЫГНАНЫХ

Лемкы, як птахы розогнаны
не вернут до своїх гнізд,
не найдут пісьні, котра веде
в зелену обруч гір,

А ту – верх кождий кличе
отвертым крылом ліса,
несе ся пісня прадідня,
дзвонит серце в водопаді скал.

Меджы сходами в небо ведут,
идеш до горы за кроком крок,
ту, на тых верхах, нич не треба,
отверят руки – Лемків Бог.

Вы не вернете до той землі,
там в пісковиці сорок літ
блудите – птахы темны,
и мряком вкрыє вас там сьвіт.

Ту в горах, на вшытких верхах,
чело високо держыт чест,
сонце огриват серце скорше,
и з нocy – встає новий ден.

Do wygnanych

Łemkowie, jak ptaki - rozpędzeni
nie wrócą do swoich gniazd
nie znajdą pieśni, która wiedzie
w zieloną obręcz gór

A tu - każdy wierch woła
otwartym skrzydłem lasu
niesie się pieśń pradziadów
dzwoni serce wodospadem skał

Miedze schodami w niebo wiodą
idziesz do góry - za krokiem krok
tu na tych wierchach nic nie trzeba
otwiera ramiona - Łemkowski Bóg

Wy nie wróćcie do tej ziemi
tam pośród piasków pięćdziesiąt lat
błądzicie ptaków cieniem
we mgle zastanie was tam świt

Tu w górach, na wszystkich wierchach
niesiesz w wysokim hołdzie czoło
i słońce ogrzeje serce szybciej
z nocy staje nowy dzień

На небі зьвізды
море зьвізд
ясьніе віз
дуркочут колеса
гырмлят слова выгнанных
сорок сім

Білы кости зимы
находжу на верхах
знам
жебы жыти
треба гмерти

На великій пательни неба
сонны пероги
місяц при місяци
рядкы місячків
поклали їх мама
на вышиванім полотни
посеред зьвізд

7 квітня 1995

Вчера привезли з села сыр
білу грудку гір
запахло на передвесні
полонином
задзвонили історії ратиці
озвала ся Лемковина
через Убочы Магуры
до гірской Крениці
Хоц тя нее на мапах
жывой
хочу ся кормити
твойом грудьом
білом грудком з полонины

10 квітня 1995

ДІТИ ЛЕМКОВИНЫ

Почастуйте ся
зеленыма словами гір
частуйте ся
по чести
причастте ся
бо не часто
мате змогу відіти
зелены слова гір
зелене зіля полонин
взяте в полон
як полон
гірке
але вы молоды
не знате смаку полону
привыкли
до кока-колі
до простору
отвореного рівнином
неборакы
діти Лемковины

11 липця 1995

БІЛЦАРЕВА

*Братям – Семанови и Васильови
Мадзелянам*

Зелены верхы
забілило сьнігом
накрыло пухом зимовой перины
Дзілярку
што од віків хоронила
рід лемківській Мадзелянів
Ту так тихо в зимовий вечыр
церков як сова
пера гонтів стріже
вітер
лозин кропило
в пролубі леду мочыт
Тихо
серце дзвону
змерзло на кіст
незадзвонит на Різдво
незабесідує
бо з жалю бы пукло
за вами
за Перечыстом з Горбів
што німо позерат
на Білу–Цареву

ПАСХА

Огники сьвічок миготливы зьвізды
горят як зіля в малинових лісах
двигают хресты спопеленых хащів
з керпци як з діжок росне покоління

В далеких садах розвалины людскы
небо взывають змилуваня зливы
біленька пасха пісьню ім заносит
кружалом сонця в умилоствленя

Білий хліб печени дорічно
одвічном сійбом рівненько вырастат
сонечно теплий як сон пахнячий
різбом ритуалу нас причащат

Божеска жертва весну кличе
до старых кутів прадідівской хыжы
гнеска ту місце де ся зышли чады
в сьвітлі блискавиц виют ся як гади

Здравы мі будте вільхы и ясені
што мокринами бродите до нчы
най радіст ділит зрадувана Лада
волосям вітру дарує кучері

Росний ім пасхо як сонечний бубен
серед зіля лопуху розстрыляных садів
най тя качают з берега на беріг
змерзнену куклу до весняной воды

Гнеска забрешут псы што не сут нашы
щезне іх голос серед першой росы
и як давнійше діти русалчаны
ігры сой зроблят з нашой Лемковины

ПРАВДА

Тот сьніг
то гмераня дощу
краплі–слезы
зьвіздны кришталкы леду
рікы Бескіду
скуты в оковы срібны
як кін застыглий в бігу
То лем гмераня
тых што вірят правді
она сьніжна
правдиві біла
непідважальна
Гмераня то
смерт сьнігу
першы краплі дощу
той весны

ОТЧЕ НАШ

помилуй зеленом весном
рід наш давний
дозвол святити імя Твое
оздоровленим квітом Бескїду
што виростат під небеса
вежами церковных бань

Най крыла гірских хырбетів
царством для Тебе будут
як и для нас за вікы
гніздом надїї были
хыжом вітцівском
з волі Твойой

Дай нам колосисте зерно
волошки як очы матери
усьміхнены
здоймий тавро боляче
бо и мы выбачыли
ворожій пісьні
Не дозволь блудити
серцям нашим
во тмі жывота

Царюй нам
в зеленій евангелїї полонин
де кости нашы розшмарены
серед співу птахів лежат
бо не час повісти
амін

СТАРА ЖІНКА

В сухій траві осени
стара жінка зберат грушкы
долоньом глаще золоты кулі
кладе
в діравы жытя хусты
Похылена як сиве дерево
палицьом сперта о землю
думат несьміло
про тепле літо
Стара жінка під грушком
в холоді осінного дня
находит квітя–спомини
з діравой хусты
дымит спопелена памят
протікат
минуле жытя

8 марця 1995р.

ТЫ З НИХ

В. А. Барні присвячую

Сідаме з Володимиром
на хырбеты зеленых гір
як на коні што несут
полонином білы хмары грив
грают гушлі цикады
ліщыновий сковыче смык
Віжджаме в повалений пейзаж гір
Лемковина стелит кольоры
дзвонит звучна підкова
што на щестя мала быти
Він до Барновця
я до Грабу іхам...
Од вчера
коли загоріла ватра
вшиткы дороги
до Ждыні ведут...
А мы в селах
рахуеме стріхы хыж
двигаме повалены хресты
хочеме найти
порохно правды Божой
сьлід цмонтера в хащах
што поколіня замінил в траву
хочеме дітхнути зеленого
як волося
што буйно накрыло головы

почути дихання землі
рідной хыжы...
Ты з них
они з Тебе
як калина з крови

Воловец, 26 липця 1992

Ищы выпеме вина
з глиняных горців
як з амфор
што на краю ліса
під убочом
в вересньовім вересі
густніе
золотий місяц ночы
чару наліе
по берегы потоків
по берегы долони
полно
надіі націдит
Выпеме за щестя
будеме пити до рана
аж запіют півні
пияны нашым сьпівом

Воловец, 26 липця 1992

ПСАЛОМ

Боже мы знали
што за днів прадавных
посадил нарід наш
в гористій землі
з волі и сьвітла свого
и жыли діды нашы
до кінця спокійных літ
до закінчєня
тысячолітя
Аж выдал ты нас
як жертву козлячу
и розшмарил серед народів
кости нашы за безцін
сусіды зневажают нас
ставляють з поганамы нарівні
серед людства мира
облечены мы в сором
Мы не забыли про Тебе
не преступили заповіту
и возносили як давно церкву
на зеленій дорозі жытя
Мы серед гірских верхів
не знали иншого Бога
крім Тебе
Господи
То нас переслідують
за вознесены храмы
за тавро яким нас назначыл
тридневно
нищат землю нашу
в тернях хресты Твої
на перехресті жытя

без надії
Господи
чому ты нас оставил
забыл про істинну нашу
безчещены гробы предків
Боже
Ты за днів прадавных
посадил нас деревом жытя
в гористім Бескиді
званым Лемковином

Zielone słowa gór

Znamy pisarzy jednej książki, lecz istnieją też pisarze jednego tematu. Władysław Graban wydał poetyckich tomików już kilka (*Twarz pośród cieni*, *Na kołpaku gór*, przekłady z Antonycza *Cała chmielność świata*), uprawia literaturę na trzy językowe sposoby: polski, ukraiński, łemkowski - ale za temat godny swojej inwencji artystycznej uważa wciąż jedno wyłącznie. Łemkowszczyznę.

Zaraz by mnie tu poprawił: Łemkowynę przecież! Bo Graban jest z tych, którzy uparli się w tekstach po polsku pisanych Łemkowszczyznę nazywać nie polskim, lecz łemkowskim słowem - z magiczną nadzieją, że od tego Łemkowszczyzna stanie się jeszcze bardziej łemkowska (trochę jak ci Litwini, co wierzą w narodową i suwerenną dla nich korzyść z tego, by Polacy po polsku mówili nie "Wilno", tylko "Wilnius").

Graban opiewa wielką a oczywistą dla wszystkich urodę łemkowskich gór. Głosi zatem wspólną prawdę naszych oczu i szczególną, może niepowtarzalną wręcz prawdę swego patriotycznego serca. Лемковино, світку ти наш! Wszystko tutaj, w Beskidzie, piękne: czupryny lasów, wodospad skał, kilimy pól, złotogłów słonecznika, zapaska nieba, zielone ziele połonin. Akurat tu można kąpać się w sianie, tu lipiec pachnie miodem; a słońce, złote słońce łemkowskie, warte jest tego, by stało się dla ludzi medalem za virtus niezłomną i najwyższą, za wytrwałą wierność ziemi przodków. Nawet jesień wygląda jak łemkowska dziewczyna; kto wyobrazi sobie jesień atrakcyjną bardziej?

Graban opiewa też eklezjalny aspekt Łemkowszczyzny; jej niebo cerkiewne, jej męczeńskie dostojenieństwo, świętość. Nie dawno w krajobrazie Żdyni (gdyż on o Żdyni pisze, nie o Zdyni, jak Polacy) dostrzegł pospołu jedno przy drugim, wers tuż po wersie, cerkiew oraz dom Sandowiczów, który właśnie zyskał w oczach ludzi wiary pontyfikalnie już potwierdzoną rangę sanktuarium męczennika. "Łemkowyna to wielka cerkiew" - pisze; ikonostasem jej jest las, a nieboskłon ojczysty wydaje się wierszowi teraz podobny do liturgicznego kielicha. Cierniowa cerkiew, prześladowana, bezmocna: ale wierna.

Gdy Grabanowska poezja kulminuje etos wierności, wtedy łączy ona, w nierozszczepialną całość stapia to, co nadprzyrodzone (samego Boga widzimy jako Łemka) i to, co przynależne ziemi: jeżeli to ziemia umiłowana, ojcowizna. Wierność - upór trwania, nadzieja wytrwania po kres, po zwycięstwo - w każdych okolicznościach uznawana za wysoką cnotę, zdobywa dodatkowy blask dzięki tej konsytuacji religijnej. Staje się cnotą błogosławioną przez niebiosą. Cnotą łemkocentryczną, skoro i niebo jest łemkocentryczne (a przynajmniej łemkotropiczne), napromieniowane człowieczym rozkochem z najdroższej z darowanych człowiekowi ziem.

"Bo nie ma ziemi wybieranej, Jest tylko ziemia przeznaczona" - mówi wielki polski poeta i streszcza w tej półstrofie kilkuwiekowe doświadczenie polskich miłości i tęsknot do kraju, gdzie kruszynę chleba podnoszą. Zgoła ono równoległe. Co tam wołoskie lub niewołoskie hipotezy; to z Bożego aż

postanowienia Łemkowie są w Beskidzie u siebie. Taka od prawieku jest ich Księga Genesis, księga bycia (a czy w ogóle Łemko mógłby nie wierzyć Boskiej nadrzędności? czy wtedy byłby jeszcze Łemkiem? czyż Десятеро Божих Приказань nie jest przyciesią łemkowskiej aksjoligii?) I wydaje im się rzeczą jaśniejszą niż śnieg, że nie święty Marcin żaden, tylko święty Mychał zimę w ich góry konno przywozi, kalendarzom cerkwi jak przystoi posłuszny. Łemkowskiej cerkwi.

Ona jest sednem Grabanowej poezji i Grabanowego pojmowania świata.

Cóż by stało się jednak, gdyby pewnego dnia, w którejś kolejnej książce Władysław Graban, ów poetycki prezbiter Łemkowszczyzny-cerkwi, zebrał swe nowe, do dziś nie napisane wiersze: jeden o muzyce Orffa, inny o kazaniu przez świętego asyżanina głoszonym do ptaszków, braciszków jego; jeszcze inny o tym, że tak samo jak unitkę z Vukovaru tragizm wojny, wszelkiej wojny (chuda pociecha, że sprawiedliwej) ukrzywdził czeczeńską mahometankę; później wiersz dla Ireny Szewińskiej; następny o tym, jak wiele słuszności ma Thomas Merton utrzymujący za Donne'em, iż nikt nie jest wyosobnioną wyspą; i ten nareszcie, w którym wielbiąc światło oczu najbliższej podmiotowi lirycznemu kobiety nie podkreślałby on z hipergorliwą śpiesznością, iż owa najbliższa to Łemkini - otóż co by się wtedy stało?

Wtedy pochwalilibyśmy poetę truizmem: że służyć Łemkowszczyźnie miłej nad życie poezja może nie tylko przez to, że widzi i opisuje urok zielonych gór, "piersi wysokich", a także jaworznańsko-wysiedleńczą martyrologię pokolenia ojców, lecz przez to w co najmniej równym stopniu, iż poszerza zbiorową wyobraźnię Łemków o zupełnie nowe dla nich połoniny emocjonalne. Że odkrywczym osiągnięciem poety jest ofiarować rodakom humanistyczne w s z y s t k o: wszystko, co wzrusza ludzi każdego narodu oraz każdego języka. I uczącą, jak przeżywać piękne to, czego narazie jeszcze z reguły nie zauważają łemkowskie wiersze w ich monokulturze uczuciowej patriotyzmu, udręki, nostalgii. Jak wędrcze się tam, naprawdę wysoko, gdzie dotychczas nie widniał znak łemkowskiej stopy.

Z dobrym prawem powiedzielibyśmy wtedy o Władysławie Grabanie, że do zalety dodaje zaletę; do zasługi ojczystej wobec swoich ziomków - nową zasługę.

Zbigniew Siatkowski

Nowe wiersze.....

xxx

Otwieram drzwi
otwieram okno zielonych łąk
wpatrują się w moje wnętrze
kwiaty
z niepokojem wylupiły oczy
szukają ludzkiego odruchu
Czyżby wiedziały
że za plecami
mam
wyostrzoną kosę

8 listopada 1995

xxx

Zabiłem w sobie byka
ja z natury byk
zostałem wolny
przestałem kochać
bo czymże miłość
zniewoleniem

Zabiłem w sobie ptaka
ja z natury ptak
przestałem latać
bo czymże wolność
poszukiwaniem
gniazda

14 grudnia 1996

MODLITWA CODZIENNA

Teraz nie sposób pisać wierszy
poeci dziwoludy
ludziom niepodobni
motylek różowutki
siada na sklepieniu czoła
tylko memlać potrafią
lekkoduchy
a tu biznesy
interesy
i women
a sexy być musi
gloryfikacja
prywatyzacja
unifikacja
modlitwa codzienna

5 sierpnia 1995

Przywołanie

W otwarte ramiona
chwytam jesień
przywołuję liście
pełne zimowego snu
by okryły moje ciało
Jestem jednym z nich
może wiosną
ożyję z wiatrem
zazieleni się
moja czupryna

Blichnarka

Nad strumieniem
w którym złącą się pstragi
rozległe łąki
Tu bielono płótno
blichowano
bo w Blichnarce
jak na gorlickim Blichu
było słonecznie
Dziś
w złotym reflektarzu słońca
kamienna cerkiew
opasana zakolem stumienia
rozpisuje horyzont nieba
haczy białych kumulusów
kutym ramieniem krzyży
Chałupy
z pod statecznej strzechy
wyłupiastymi oknami
spoglądają w stronę światła
zdziwione
że to już koniec
XX wieku

3 maja 1999

Blechnarka: wieś położona za Wysową przy
słowackiej granicy, do 1947 roku *Blichnarka*.

List otrzymałem panie wojewodo
wiem
nie ma pieniędzy dla Łemków
pisał o tym dyrektor Beksiński
lasów też nie ma
bo mniszka zjada ukradkiem
Czy w tym domu
jest jeszcze coś do zjedzenia

*Panie, miłościwie panujący,
kiedy podzielisz kromkę,
nie mów nam znowu,
że był to świąteczny opłatek.*

5 sierpnia .1995

XXX

Do zielonych wzgórz
nie było bram,
ani kluczy
kutyh czy odlanych.

I można było wejść,
jak wchodzi się do kobiety
z rozkoszą,
a tu z kluczem-bagnetem
szukają wejścia,
biją straże.

Zewsząd otwarte wzgórze

- straże

to tylko westchnienie zmarłych,
ciepły oddech żywych chałup,

to tylko zielonowłose jodły,
smukłe wysokowzroczne.
Straże -
to tylko cichy szum wiatru
pod skrzydłami ptaków.
A oni ubili tę smukłość zieloną,
obrócili w perzynę
węgla starych jodeł,
przegnali ciepły oddech
chałup.
Wycinając drzewa
zapomnieli, że las
ma własne korzenie.

21 grudnia 1996

TRWANIE

Rozburzyli świątynię
lecz ona trwa
wznoszona na piasku
i na litej skale
nowa
Trwa misterium
świętości i niszczenia
W poszukiwaniu Boga
nieustanni
odradzamy się
z fenikсового popiołu

27.11.1995

W otwarte ramiona
chwytam jesień,
nie chcę by pierzchły
liścioskrzydłe ptaki -
daleko w obłoki
nad moim domem.
przecież tuż obok
darują nowe życie

jesień '96

xxx

Oj, przepadło moje sioło,
przepadło
ale cóż zrobić,
kiedy przepadają miasta,
kiedy przepadają imperia,
kiedy pośród planet
zabraknie którejs.

Może więc nie opłakiwać
może przestać śmierci płacić myto
i zauważyć, że w galaktyce
rodzi się nowa gwiazda.

Wł. Graban

Ojcze Nasz

Miłością swą Panie
otocz ród nasz dawny
w zieleni wiosnę
i pozwól czcić Imię Twoje
w ozdrowiających kwiatach Beskidu
co pod niebiosa wyrastają
wieżami cerkiewnych bań
 Niechaj skrzydła górskich grzbietów
 królestwem dla Ciebie będą
 jak i dla nas przez wieki
 gniazdem nadziei były
 chatą ojcowską
 z woli Twojej
Daj nam grubokłose ziarno
i chabry
jak oczy matczyne
uśmiechnione
zmaż znamię boleści pełne
bo myśmy wybaczyli
pieśni złowrogiej
Nie pozwól błędzić
sercam naszym
w ciemnościach żywota
 Króluj nam
 w zielonej ewangeli połonin
 gdzie kości przodków rozrzucone
 pośród śpiewu ptaków leżą
 bo nie czas powiedzieć
 amen

tłumacz. autora

chabry - niebieskie kwiaty
połonina - górską halą gdzie wypasano owce
znamię - naznaczony znamieniem, inny, nacechowany

Do ciepłego lata

Przedemną lato i ptaki
które skąpały swoje skrzydła w słońcu
zielona noc z księżycokołaczem
i koń w morzu letnich połonin

Na grzbietach gór gęstnieją wrzosi
pijane jak wino młode
kon skubiąc suche ziele rehotu
dzwoni podkową szczęśliwy

Przedemną jesień chropawa
pióra ptaków strzyże wiatrem
koń czeka świętego Michała
ze spisą bieloną śniegu grzywą

I którz ten wrzos winny wypije
którz wszpili w warkocze motyle
kiedy nad ranem święty przyjdzie
w zimowym świetle białego włosia

Do wygnanych

Łemkowie
jak ptaki - rozpędzeni
nie powracają do swych gniazd
nie odnajdują pieśni, która wiodła
w zieloną tarczę wysokich traw

A tu
wierch każdy przywołuje
otwartym skrzydłem lasu
niesie się pieśń pradziadów
dzwoni serce wodospadem skał

Miedze schodami w niebo wiodą
idziesz do góry
za krokiem krok
tu na tych wierchach niewiele trzeba
w otwarte ramiona przyjmuje Bóg

Wy nie wróćcie do tej ziemi
tam pośród piasków
pięćdziesiąt lat
błądzicie ptaków cieniem
tam wasze kości spopieli czas

W górach, na wszystkich wierchach
czoło w hołdzie podnosi cześć
i słońce ogrzewa serce szybciej
tu z nocy
rodzi się nowy dzień

Володислав Грабан

До теплого літа

Передомном літо і птахи
што прокупали свої крыла в сонци
зелена ніч з місяцьоколачом
і кін в мори літніх полонин

На хырбетах гір густніе верес
пяний як вино молоде
а кін рве сухе зіля реготу
і дзвонит підковом щасливо

Передомном осін дзьобата
пера птахів стріже вітром
і кін жде Михала зо списом
з білом сьнігу гривом

І хто тот верес винний выпе
хто метеликы вшпилит в косы
коли над раном Михал приде
в травах білого волося

17.08.97

Картины далекой дороги

Замітя осіннього листя
обступило мя
осачыло з кожного боку
же ани невидно морозом
білой головы
невидно Лемків
живых
ани тых што одышли

Так было ім тяжко
але мусіли одлетіти...
по горячім літі
і мы одлетіли...
і неповернули
хоц зме не птахы

А птахы так гарді сьпівали того літа
снопы ярцю і вівса
золотіли як кучері Кычер
Дідо з косом
згартав в покосы што росло
на жытя – все было коли
бо до осени далеко
аж в рядах компериска
заясьніли
білы кости вбитых

Коли сідали до вагонів
вшитко на вазі одважано
жебы незадуже
звїрят і возів
а ікони і книжки
так як порох
здуто з вышываных ручників
і остало
лем повтерати слозы

Найдовша дорога
через півстолїтя
і з кождом весном
коли забілит ся калина
видиме червену дорогу
на схід і захід
в янчары заганяме
народжєных
а тоты што придут
чи на ліпше

Поїхам до гроба мого няня
метер на два
таблиця хрест і квітя
а другим ся буде здавати
же маме разом
задуже

Нас двох
то якбы небыло люди
Він з Богом
я з живыма

1.11.1997 р.

Ту стояла хыжа
пец і теплы пероги
Гнеска під небом
лем почорніле місце
а пероги
як місячыкы лежат
на вышитім ручнику
атраментового неба
з зірками для прикрасы

Чому Боже
залишив зелени верхы,
зелене волося лісів,
пожертвував чужым
нашы ялиці,
што стояли лемкам святиньом
і невирубували дерева в свято
ани в будний ден.
Шкодували дітям на черевікы,
на ідло –
бо–ж ялиця як святиня,
мала стояти для поколінь!

7.11.1997 р.

Почаїв

Посеред широкого моря
української землі
світять золоті вежі Почаєва
літарня християнської Руси
Ту близько машином
далеко на колінах
Для поколінь што приходять
для тых што мусят прити
ту
до Божої Матери
бо-ж Она пришла для них
вратувати нарід сей
бо заслугує на краще
як московсьій шлях

Сіры лахманы двигаш
Україно
хоц твоя Матір Богородиця
так чудово вбрана
Твої діточки
ей сыны
пострадали
від Чернобыля
Чорна Матери
молися за них

Печера Іова

В скелі замкнено
золотодары
в скелі замкнено
золотого духа Іова
так якбы сам боявся
людського світла
а оно до люди приходить
штодня з темниці

До зеленых гір

До зеленых гір
небыло брам
ани ключів кованих
і мож было гвойти
як входить ся до раю
розкішно
А ту ключом–багнетом
глядают входу
бют сторожів
бо горы отворены
Сторожы
то лем зітхнення вмерлих
тепле диханя живих хыж
то лем зеленоволосы ялиці
струнки высокозоры
Сторожы
то лем тихий пошум вітру
під крылами птахів
А они забили стрункiст зелену
обернули в попелище
кругліст старых дерев
перегналы тепле дыханя хыж
Стинаючы дерева
забыли же ліс
має коріня

21.12.1996

На горах
ставляють монастири
являються всі свята
Божа Матір
на горі Явір
на Почаєві
а лемки
зишли з гір

Прикликання

В отверты рамена
хвачам осінь
приликую листя
повны зимового сну
най вкрьют моє тіло –
я єдним з них
Може весном ожью
з надходом вітру
зазеленится мій чуб

Пропало моє село
пропало
але штож зробити
коли пропадають міста
пропадають імперія
коли посеред планет
дакотрой бракне
Може не оплакувати
може перестати

смерти платити мито
і зауважити же в галактыках
родиться нова зіззда

Отверям двері
отверям вікно зелених лук
всмотрене в моє внутря
квітя
з непокойом вылупило очы
глядат в мене людского одруху
Чиж они знали
же за плечыма
мам
выострену косу

8.11.1995

Тривання

Розорили мою святиню
та она триває
возношена на піску
та на литій скелі
нова
Триває містерія
святости і нищыня
В пошуках Бога
безустанно
одроджуєме ся
з феніксового попелища
27.11.1995

Вбив я в собі быка
я з натуры бык
і зостав вільний
перестав кохати
бо чым коханя
зневоліньом

Вбив я в собі птаха
я з натуры птах
перестав літати
бо чым свобода
пошуком гнізда
14.12.1996

Молитва штоденна

Тепер на спосіб писати віршів
поеты диволюды
людям неподібны
метелик ружовий
сідит ім на склепіню чела
лем молоти губами потрафлят
легкодухы...
а ту
бізнесы
інтересы
і вомен (women)
а сексі быти мусит
глорифікація
приватизація
уніфікація
молитва штоденна!
5.08.1995

Верш для Оксанкы

Памяташ?

Памятам першы квіткы
червены ягідкы
в твої жмінці
і коли
дрібний пальчык
заболів раптовні
прищыплений дверми
Памятам
радіст з пташка
што вылетів з гніздка
в твої руки
Памяташ?
За ним тіж плакала мама

Липец

верш для Артима і Євеліні

На летовисках
покошених лук
медодайны пчылы
глядают
штыролистной коничынкы
В убочы дыхат цяжко липец
серед сосен дідо
з косом на рамени
находит свое дітінство
Вакаційны внуку
з містецкога гнізда
перхнули до діда
як пташата
і видят
же дідо невелио ма силы

і роботу робит помалы
Хоц е векший од пчолы
боїт ся хмары чорной
котра краде сіно з кіпок
і отверат сусідскы стріхы
Діти берут в руки
кавалец неба
ділят як гарбуз
соковитий липец
і неповірят нікому
же для діда скорше
не было вакацій

Верш для Наталкы

Мойой Наталкы
черевічки стары
качатами зведе
Часто вечером
коли вертам домів
витают мя они
при вході до сіни
Втовды дня мі шкода
пережитого так скоро...
Жалую
што жытя перелечу
незважаючи
же качата
што року сут векшы

Материнство

Жменя замыкат тепло
в жмени
як в хыжы теплій
зруб пальців твоей руки
вынаходит зерна молитвы
пальці
спечены як груди землі
як груд жінки ласкавы
материнством
наполняют простір
отвореных зірниц

Лемко

Не піднесе головы
як кождий лемко
буде смотрив в землю
усьміхне ся
якбы до себе
і піде розколысаным кроком
серед загоны ячміня і вівса

В вівсиску найде бодак
колячом долоньом
погладит діток головы
і на свитаню
на ново обыйде ролю
жебы отверто посмотрити в твар
сонцю

Над головами святынь
куполи
надуты віром
а люде так малы
хробачкы праві
вірят
же выстарчыт надути
балон надії
З переражыньом позерают
на остры ножы
і пробивають себе взаемо
жебы не пукла купол
надута як балон
віром
10.07.1995

Мій Бог

Є подібний до мене
не ма церкви
выгнаний з власного неба
сохраненя глядад
в чужых

в своїх
малбы трудний выбір конфесії
жебы носити мено Українця
мусит вступити
в ряды УПА

січень 1994

Володислав Грабан

Велия

Недуже нас недуже
кілька люди остало в селі
і хыж пару заваленых сьнігом
якбы нікого небыло
Затоплены в білым мори
з меном лемка вкрытим
під загортком
што біля серця
трепоче як птах
страхливо
До церкви подме братя
шляхом неба синього
бродити будеме серед зірок
што впали до сьнігу
в Святу Ніч
На схыленых хырбетах полонин
наново выросне хліб
на кеселицю
і на штоденну страву лемкови
Іде Велия
даруйме собі братя
жмільку надії
пучок Світла Божого
хватте в зболілы долоні
выбачте што невыбачене
захраньте землю дарувану Богом
Як перед выгнаньом
загостит до вас Ісус
він як колиси
недуже потрібуе

*Wiosna w pełni, może już początek lata,
a ja, tak dawno nie pisałem wierszy...*

Nie ma ciebie

"Ne ma tebe, ne ma mene..."
Nie ma nas, choć żyjemy
pojedynczo,
po jednemu,
przekłęci na wietrze,
na gontowej witce
chybotliwego czasu -
jak ptasie pióro
w kałuży smutku.
Przekłęci na wietrze,
przyszpileni
wilgotną czułością pocałunku
do ukrzyżowanego Chrystusa
o kamiennej twarzy.
Uczyniono z niego niemowę
zaledwie pół wieku temu.
Przekłęci na wietrze,
tonąc
chwytamy ostrze czasu,
żartobliwi śmiesznością
poczynamy śmieiej
przeklinać wiatr historii,
przekłęci...

2000-05-30

XXX

Dwa tysiące
idiotyczna data
podobna do pękających beczek
wytoczonych na rampę...
Może popłyną pochylnią
spokojnie
w stronę nowego czasu
albo z hukiem
rozerwą spinającą obręcz
Wówczas nie potrafimy zaśpiewać
wzniesić modłów do ojca naszego
poderżniemy gardła bliskim
bezbożnie uczymy początek
trzeciego tysiąclecia
Idioci milenijni

2000-05-30

Władysław Graban

Choćbym pragnął...

Choćbym pragnął przemówić
przeklętej nie wyjawię duszy,
nie zdejmę garbu
jaki narósł nad spopielonym czasem -
ukrzyżowaną ojczyzną moją.

Choć kwitną tutaj drzewa,
kwiaty radosne słońcem,
coraz wstrząsa Beskidem
piekący ból.

Wczoraj zaorano pole
obsiane mogiłami -
dwa na jeden metr
mojego ojca,
pozostawione w spadku potomnym,
wycięto z krajobrazu świata,
wymazano z orbity zmarłych.

A ja nadal poszukuję
gdzieś nad Czertyżnem,
nad Izbami
wolnej przestrzeni -
izby na olszynowym listku,
by o zmierzchu odpocząć.

Przecież znaliśmy wiele słów,
śpiewaliśmy pieśni święte,
a straciliśmy wszystko.
Rozmawiamy teraz
o spopielonym świecie Łemków,
niepewni
czy nad wiosenną niwą
skowronek roznieci
pożar życia.

2000-05-30

(...)Graban opiewa wielką a oczywistą dla wszystkich urodę łemkowskich gór. Głosi zatem wspólną prawdę naszym oczu i szczególną, może niepowtarzalną wręcz prawdę swego patriotycznego serca. Wszystko tutaj, w Beskidzie, piękne: czupryny lasów, wodospad skał, kilimy pól, złotogłów słonecznika, zapaska nieba, zielone ziele polonin. Akurat tu można kąpać się w sianie, tu lipiec pachnie miodem; a słońce, złote słońce łemkowskie, warte jest tego, by stało się dla ludzi medalem za virtus niezłomną i najwyższą, za wytrwałą wierność ziemi przodków. Nawet jesień wygląda jak łemkowska dziewczyna; kto wyobrazí sobie jesień atrakcyjną bardziej?

Graban opiewa też eklezjalny aspekt Łemkowszczyzny; jej niebo cerkiewne, jej męczeńskie dostojęństwo, świętość. Nie dawno w krajobrazie Żdini (gdyż on o Żdini pisze, nie o Zdyni, jak Polacy) dostrzegł pospołu jedno przy drugim, wers tuż po wersie, cerkiew oraz dom Sandowiczów, który właśnie zyskał w oczach ludzi wiary pontyfikalnie już potwierdzoną rangę sanktuarium męczennika. "Łemkowyna to wielka cerkiew" - pisze; ikonostasem jej jest las, a nieboskłon ojczysty wydaje się wierszowi teraz podobny do liturgicznego kielicha. (...) "Bo nie ma ziemi wybieranej, Jest tylko ziemia przeznaczona" - mówi wielki polski poeta i streszcza w tej półstrofie kilkuwiekowe doświadczenie polskich miłości i tęsknot do kraju, gdzie kruszynę chleba podnoszą. Zgoła ono równoległe. Ona jest sednem Grabanowej poezji i Grabanowego pojmowania świata.

fragm. recenzji do zbioru wierszy "Rozsypane pejzaże" - Zbigniew Siatkowski